



Eskimosowi lodówki! Coś w tym jest, bo każde miasto, lub nawet mała wieś nad wodą, ma marinę albo co najmniej jakąś przystań. Znalezienie wolnego miejsca w tej to marinie to prawie jak wygranie losu na loterii. Większość miejsc postojowych jest prywatna i wykupiona na parę lat naprzód.

I choć jest tu, jak widać z tego, co napisałem wyżej, dużo jachtów, my na całej naszej trasie Wellington – Picton – Napier – Tauranga – Great Barrier – Auckland nie spotkaliśmy na otwartym morzu ani jednego!

Z małym wyjątkiem – do zatoki Port Fitzroy na wyspie Great Barrier zawinął piękny katamaran... z całkowicie polską załogą. Nic więc dziwnego, że w miejscowej restau-

racji, zwanej dumnie „Yacht Clubem”, zrobił się polski wieczór, bo stanowiliśmy jakieś 80 proc. wszystkich gości.

Nowozelandczycy żeglują głównie weekendowo, rekreacyjnie i raczej zatokowo, a w marinach, na pięknych motorowych jachtach, uprawia się głównie sobotnie grillowanie, choć nie można zapomnieć o zwycięstwie Nowozelandczyków w regatach o Puchar Ameryki i wielu innych.

Z tej perspektywy takie żeglarstwo, jakie my uprawiamy na jachcie „Nashachata”, płynąc już prawie 18 miesięcy non stop z Polski, jest tu wyczynem i budzi duży szacunek wśród spotykanej braci żeglarskiej. Wprawdzie tłumaczymy, że płyniemy eta-

pami, ze zmianami, bo praca, urlopy itp., to „szacun” i tak jest!

W DRODZE DO AUCKLAND

Z Wellington wyszliśmy spóźnieni o jakieś 1,5 godziny po wysokiej wodzie, która była około godziny 1400. Taktyka przejścia Cieśniny Cooka polega na załapaniu się na silny prąd wynoszący z zatoki Wellington, potem na wschodni prąd w cieśninie Cooka, a następnie trzeba wejść z prądem do Marlborough Sound przez bardzo wąski przesmyk cieśniny Tora Chanel. Trzeba tam się pojawić na pięć godzin przed wysoką wodą w Picton. Prądy morskie o prędkości dochodzącej nawet do 7 w i silne wiatry determinują żeglęgę →